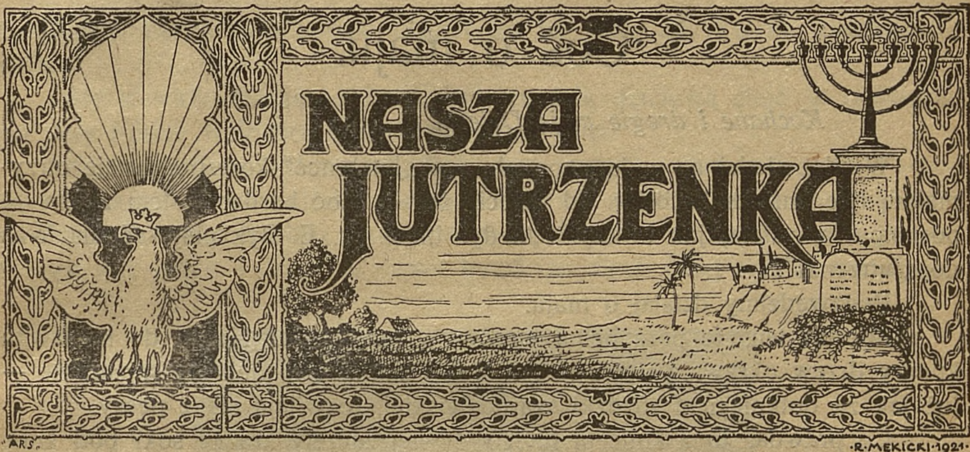
Rok IV. Lwów, maj 1924. Nr. 3.



PISMO DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

FR. LAZARUSÓWNA.

Trzeci Maj.

Mówimy, że to wiosna radosna,
Gdy bocian zdala powraca,
Gdy śnieżyczka się rozkwita, jaskier się rozzłaca,
Zioła wydają lekkie balsamiczne tchnienie,
A z serc naszych wypływa rzewne rozmarzenie.

Mówimy, że to wiosna radosna,
Gdy przyjaźń serca rozpiera,
Wtedy oko tęskniące inaczej spoziera,
Horyzont naszych myśli ma szersze granice,
Świat piękniejsze widoki, zdrowsze okolice!

Mówimy, że to wiosna radosna,
Gdy w szacie krasnej od święta,
Schodzi się naród cały, dziewki, pacholęta,
U wszystkich podniesiona uroczyście głowa,
I zlana w jedną wielką, ich dusza zbiorowa —

Mówimy, że to wiosna radosna.
Bo na glebie pod chmurami,
Zetknęły się dwa drzewa swojemi listkami.
I bo Ty, Cudotwórco, historyczny Maju
Uściskiem zjednoczyłeś dłoni ludzi w kraju.

Coś o maju.

Kochane i drogie moje Dzieci!

W odpowiedzi na moją poprzednią w „Jutrzence“ korespondencję otrzymałam tyle miłych liścików od dzieci, że — choć bardzo jestem zajęta — postanowiłam stale, jak to czynił kiedyś bł. p. dr. E. Byk pisywać dla Was do „Jutrzenki“.

Pogawędzimy dzisiaj o maju.

Miesiąc ten, to pora pełna cudów w przyrodzie. Nagie do niedawna konary drzew okrywają się liśćmi, które — zanim człowiek się spostrzeże — już jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, rozwijają się z pęczy.

Co prawda, to z końcem lutego żywiej zaczęły krążyć soki pod korą, potem w kwietniu tworzyły się na gałęziach guzki ledwo jeszcze widoczne, a z guzków tych wystrzeliły pęcze, zarodki liści.

Patrzę ja co roku na ten cud zmartwychwstania drzew, kwiatów i traw, wszelakiego odrodzenia życia w przyrodzie i myślę: czyż nie uczy to, że śmierć nie jest znowu tak okrutna, bo wszystko co było życiem, odnawia się i trwa wiecznie i że tylko zmieniają się formy tego życia.

Chciałabym Was nauczyć moje drogie dzieci kochać drzewa i kwiaty, abyście patrzały na nie, jak na cud Boga tak piękny, jak pięknym cudem jest dziecko, taka mała drobina, z której wyrasta człowiek, co stać się może kiedyś chlubą swego narodu.

Czy domyśliła się naprzykład biedna żydówka w zapadłej mieścinie, że z jej maleńkiego Berka wyrośnie bohater, którego imię ze czcią powtarzać będą w Polsce po wiek wieków?

Wspominam właśnie o Berku Joselowiczu, bo 5 maja minęło 115 lat od owej pory kiedy ten wzorowy Żyd-Polak zginął pod Kockiem, broniąc mężnie granic Polski przeciw wojskom austrjackim.

„Jutrzenka“ już nieraz pisała o Berku Joselowiczu, więc ja tu pobieżnie tylko przypomnę ò czynach tego bohatera.

Berek Joselowicz żył w czasach, kiedy Polska prowadzić musiała ciągłe wojny z wrogami, którzy przywłaszczyli sobie nieprawnie jej kraje, a potem całą Polskę między siebie rozszarpali i do swoich państw przyłączyli. Żyd Berek Joselowicz, który kochał Polskę całą duszą, widząc jaka krzywda się jej dzieje, utworzył z żydowskich ochotników osobny pułk i najpierw pod wodzą Tadeusza Kościuszki walczył w obronie Polski, a potem wstąpił do legjonów, które pod Napoleonem I. Bonapartym służąc, mieli nadzieję, że przy pomocy tego cesarza Francuzów odbudują Polskę.

Niestety wysiłki wielkiego Naczelnika Tadeusza Kościuszki wraz z jego drużyną, jak i ofiara legjonów ówczesnych, gdzie wśród jednych i drugich był także Berek Joselowicz, nie zdołały wtedy wskrzesić Polski. Sto lat

z okładem trzeba było czekać jeszcze na ten cud, aby Polska zmartwychwstała.

Ale te walki ówczesne były koniecznością dziejową choć w rezultacie nie dały Polsce wolności, a pochłonęły tyle ofiar.

Naród bowiem, który dochodzić chce swoich słusznych praw i odebrać sobie to, co mu niesłusznie zabrano, nie może z założonemi rękoma czekać zmiłowania Bożego, lecz winien się bronić i walczyć o swe prawa. Przegra raz jeden i drugi, a nawet trzeci, to niech dalej walczy tak długo,



BEREK JOSELOWICZ

aż sprawiedliwość nastanie. Zginęli w walce jedni, powstali drudzy i znów inni, aż Polska odzyskała, co straciła.

Nie pochwalam ja wojny. Szczęśliwy ten naród, który prowadzić jej nie potrzebuje. Sprawiedliwość Boża dopełni się też na zaborcach, jak już dopełniła się w naszych niemał oczach na rządach carów rosyjskich, i na rządach cesarzy pruskich i austrjackich, z których dzisiaj nic nie zostało.

Tamte rządy w proch się rozsypały, a Polska skrzywdzona przez nie, dziś jest państwem niepodległem i da Bóg będzie i potężną.

Więc nie dla wzbogacenia się walczyli bohaterowie Polski, ale w obronie gnębionego narodu, w obronie sprawiedliwości. Dlatego czcimy pamięć tych

bohaterów. Dlatego Berek Joselowicz jest jakby sztandarem, na który przy każdej okazji wskazujemy, aby dać przykład dzisiejszemu pokoleniu młodzieży żydowskiej, jak całą duszą kochać trzeba Polskę i umieć poświęcić się dla Ojczyzny miłej.

Dawno już, bardzo dawno umarł Berek Joselowicz, dawno już i jemu i tamtym bohatreom usypano mogiły, a oni rok rocznie zmartwychwstają, jak te drzewa w maju. Umarli, a przecież żyją wpośród nas, wskrzeszeni naszą miłością i naszą pamięcią wdzięczną.

Błogosławiony człowiek, który zasłużył sobie na miłość i wdzięczność; przetrwa bowiem wieki całe, umrze i zmartwychwstanie, wskrzeszony cudem miłości i wdzięcznej pamięci.

Tyle moje Dzieci o miesiącu maju pogawędzić z Wami chciałam. Kochajcie ten miesiąc i patrzajcie na drzewa i kwiaty i na dzieci malutkie, jak na najpięniejkszy z cudów Bożych na ziemi. *Aniela Kallas.*

JÓZEFA SIEBE.

Szczęście w garnku.

— Be, be, be, — beczała koza, Fryderyka, pewnego niedzielnego poranku. Był to pogodny listopadowy poranek, słońce świeciło wesoło a niebo było błękitne. Fryderyka dziwowała się chłopcom, którzy biegali po wzgórzu koło domku babki Agaty i puszczali latawca. Poczciwa Fryderyka miała zupełną rację, że się dziwowała i beczała, bo nikt w listopadzie latawców nie puszcza. Chłopcy biegają z niemi po polach, jeszcze w październiku, ale w listopadzie wszystkie latawce są już podarte. Cóż z tego? Franek życzył sobie latawca i dostał go w listopadzie, w dniu, kiedy deszcz lał strugami. Gdyby się Franek nie był wstydził, byłby płakał, mimo że wody dość już było, ale wstydził się kolegów. Nareszcie deszcz ustał, pogoda była jakby umyślnie zamówiona, słoneczna i wietrzna trochę. Franek zebrał chłopców, Kubę, Antka, błękitnego Wojtka i poszli puszczać latawca. Był on piękny, różowy, z nieskończenie długim ogonem.

Chłopcy mieli na sobie niedzielne ubrania, a matki nakazały im w domu bardzo ostro, by ich przypadkiem nie splamili. Trzeba było bardzo uważać, bo grunt był rozmoknięty od deszczu i śliski. Piękne ubrania sprawiły chłopcom więcej kłopotu niż przyjemności.

Latawiec wzniósł się przecudnie, wyglądał w powietrzu jak ogromny jakiś pstry ptak z bajki i chłopcy patrzyli nań z dumą. Prócz nich, z boku, ukryty za drzewem przyglądał mu się tęsknie ktoś jeszcze — senny Wojtek. Smutnym wzrokiem śledził ruchy latawca i myślał sobie:

— Jaka szkoda, że nie mogę razem z nim polecić, nie musiałbym siedzieć u złego opiekuna.

Wojtek nie potrzebował szanować odświętnego ubrania, bo go wcale nie posiadał i dlatego bardziej niż zwykle różnił się od reszty dzieci i usuwał się od nich.

Chłopcy klaskali w ręce z zachwytu i wołali:

— O, o, jak leci!

— Prawie tak jak wrona!

A Franek, dotknięty tem powiedzeniem Wojtka poprawił:

— Ale skądże, jak orzeł! — choć nigdy nie widział orła! — Gdyby tylko mieć jeszcze kawałeczek sznurka — dodał po chwili, bo chciał, aby latawiec wzniósł się jeszcze wyżej.

— Mam sznurek! — zawołał uradowany Kuba i wydobywszy z kieszeni najrozmaitsze rozmaitości, wynalazł między niemi kawałek sznurka. Teraz zabrali się wszyscy razem do wiązania sznurków, każdy twierdził, że zrobi to lepiej niż inni, aż „oh!" latawiec wyrwał się im z rąk i wzleciał bez uwięzi. Krzyku, który teraz powstał, nie da się opisać! Koza Fryderyka ze zgrozą zawołała „bee, bee" i uciekła do stajenki. Miała już dość przedstawienia. Chłopcy z rozpaczą ścigali oczyma latawca, który — to się wznosił, to opadał, ale nie było nadziei uchwycenia sznurka. Co tu czynić? Czas mijał, zbliżała się pora pójścia do kościoła, trzeba będzie zostawić piękną zabawkę na pastwę losu.

Latawiec słaniał się, zadął silniejszy wiatr i popędził go wprost na chałupkę babki Agaty. Leciał, pochylając się to w tę, to w ową stronę, a chłopcy pędem zbiegli z górki. Gdy dobiegli do chaty, latawiec wzniósł się znowu. Franek nie mógł już wytrzymać dłużej i rozpłakał się na dobre. Wójtów Kuba trącił go w bok i krzyknął: nie rycz! — Chciał pocieszyć przyjaciela, a nie umiał zrobić tego inaczej.

— O już zawisł! — zawołał nagle senny Wojtek, wywabiony tem wszystkiem z ukrycia.

Na kominie chaty babki Agaty zawisł latawiec i jak ptak spętany szamotał się na wszystkie strony.

— Trzeba wleźć na dach! — powiedzieli chłopcy i spojrzeli po sobie nieśmiało, bo każdy z nich dobrze o tem wiedział, że w odświętnem ubraniu nie wolno chodzić po dachach. Teraz senny Wojtek zdobył się na odwagę, zbliżył się do chłopców i rzekł:

— Wejdę na jabłoń, z jabłoni na dach i odczepię latawca! — I, nie czekając odpowiedzi wdrapał się na jabłoń.

Chłopcy patrzyli trwożnie w okienko babki Agaty, wiedzieli jak bardzo nie lubi, by chodzić po dachu:

— Może się jeszcze załamać! — mawiała nieraz, bo też dach jak cały domek babki był stary i zmurszały.

Tym razem babka Agata nie zwracała uwagi na to, co chłopcy robili. Ubrała się odświętnie w szeroką, sztywną, ciemną suknię i owijała właśnie zniszczony modlitewnik śnieżnie białą chustką do nosa. Na kuchni stał duży garnek wody, w której pływał kawalątek mięsa, był to jej obiad świąteczny. Chciała dołożyć do ognia jeszcze jedno polano, gdy nagle spojrzała w górę przerażona. Coś zatkało otwór przy okapie, coś przysłoniło światło, które padało zawsze tamtędy, coś zawisło u komina i trzepotało się na wszystkie strony.

— Boże mój, cóż to jest? — Babce zrobiło się jakoś nieswojo:

— Dziwne, co to być może? — i odeszła od kuchni, nie dołożywszy drzewa, lecz przypomniała sobie, że garnek z obiadem został jeszcze na kuchni:

— Może łatwo coś wlecieć! — powiedziała sobie i wróciła, by go przykryć.

W tej chwili stało się coś strasznego! W kominie coś zaszeleściło, stuknęło, wrzasnęło, zawyło, przewróciło się i czarnowłose, przerażone stworzenie spadło na garnek babki Agaty.

— Ach! — krzyknęła babka i padła na podłogę, wlepiając wzrok przerażony w dziwne zjawisko.

W okienku ukazały się cztery okrągłe zaczerwienione twarze chłopców, cztery ciekawe noski przypłaszczyły się do szyby, a cztery pary oczu zaglądały pełne lęku do izdebki babcinej. Przerażenie chłopców nie miało granic, gdy ujrzeli babkę leżącą na podłodze.

Babka jednak natychmiast wstała i spostrzegła, że czarne straszydło, które spadło do garnka miało ładne, niebieskie oczy a w oczach błyszczały mu dwie duże łzy. Zdjęła dziwnego gościa z kuchni, postawiła go na ziemi i powiedziała krótko:

— Jeszczebyś sobie spodnie spalił! Spodnie nie były spalone, lecz zupełnie mokre i senny Wojtek, on bowiem był owem straszydłem, spoglądał na babkę żałosnym wzrokiem. Babka przybrała srogi wyraz twarzy, mimo że gwałtem tłumiła uśmiech i spytała:

— Dlaczego wszedłeś kominem, a nie drzwiami?

W tej chwili spostrzegła za oknem czterech chłopców i krzyknęła niby groźnie:

— A wy co tu robicie urwisze?

Chłopcy wiedzieli, jak należy rozumieć gniew babki, a widząc, że się sennemu Wojtkowi nic nie stało i że zdrów i cały stoi na nogach, wpadli wszyscy do izby i wszyszcy razem z takim zapałem opowiadali przygodę z latawcem, że babka nic z całej ich paplaniny nie zrozumiała i dała rozkaz:

— Trzej milczą a jeden mówi!

Każdy z chłopców chciał opowiadać, żaden nie chciał milczeć, więc znowu rozgadali się wszyscy razem, ale babka z tego przecież coś nie coś

połapała. Latawiec ciągle jeszcze wisiał u komina, Wojtek wpadł w chwili, gdy miał go odczepić!

— Wyglądasz jak prawdziwy kominiarz — powiedział Kazik z podziwem i nie bez szacunku patrzył na kolegę, który taką przebył przygodę.

Od tego czasu chłopcy naprawdę patrzyli na Wojtka z szacunkiem. Każdemu zdarzyło się spaść z drzewa, ale kominem wlecieć do garnka, to było coś niezwykłego.

— Bim, bam, bim, bam — odezwały się dzwony, głos ich rozlegał się po całej wsi, zwołując ludzi do małego, białego kościółka na wzgórzu.

Babka Agata i chłopcy nadsłuchiwali przez chwilę.

— Idźcie, — powiedziała babka — spieszcie się. Wasz latawiec może sobie tu wisieć, potem poproszę sąsiada Tomasza, by go zdjął. On ma wysoką drabinę.

Chłopcy zabierali się więc do odejścia, a senny Wojtek zabierał się wraz z nimi, ale babka Agata chwyciła go za kołnierz i rozkazała:

— Ty zostaniesz! Taki smoluch nie może się w kościele pokazać, wprzód cię oczyszczę!

Wojtek spuścił głowę i został, a gdy tamci byli już za drzwiami, powiedziała mu babka łagodnie i ze współczuciem:

— Ty biedaku nie masz pewno innego ubrania?

Wojtek skinął potakująco głową. W czystej izdebce babki Agaty czuł wyraźnie jak jest opuszczony i brudny.

Babka Agata nie lubiała się długo namyślać, wolała się wziąć zaraz do roboty. Zdjęła z głowy piękną odświętną chustkę, odłożyła modlitewnik, przyniosła szal, kazała się Wojtkowi rozebrać i w szal zawinąć. Sama zaś zagrzała garnek wody, postawiła miednicę, by się Wojtek mógł umyć i krzątała się póty, póki dzwony kościelne nie przebrzmiały.

— Pan Bóg woli dobry uczynek od modlitwy mawiała i dlatego bez namysłu została w domu i zabrała się niezwłocznie do prania, cerowania i łatania Wojtkowego odzienia.

Przyjemnie, cicho i przytulnie było u babki Agaty, słońce zaglądało tak wesoło przez czyściutkie okienka jak gdyby w lecie. Kotek mruczał, a Mimi, ptaszek w klatce, przypomniał sobie w tych blaskach słońca kwitnące drzewa owocowe i krzaki dzikich róż i rozśpiewał się radośnie. Senny Wojtek ośmielił się w tem otoczeniu i głośno odpowiadał na wszystkie pytania. Odpowiedzi jego nie były wesołe i nieraz babka otarła sobie łzę ukradkiem i szepnęła do siebie: Biedne dziecko!

Senny Wojtek był naprawdę biednem dzieckiem. Pracował bardzo ciężko, nie słyszał nigdy dobrego słowa i nie jadł nigdy do syta. Nie szczędzono mu natomiast bicia i szturchańców. Nikt się o niego nie troszczył i nikt go nie kochał. Młynarzowa zaprosiła go raz, by ją odwiedził, ale nie miał na to odwagi.

Gdy babka skończyła szycie, obiad był już gotów, lecz babka Agata twierdziła całkiem stanowczo, że jeść nie może, że nie ma nic a nic apetytu, więc Wojtek musiał sam zjeść wszystko. Dostał nawet na leguminę kawałek placka z jabłkami, który wójtowa przysłała babce na niedzielę. Pierwszy raz w życiu Wojtek był naprawdę syty. Podziękował serdecznie i odszedł, a ona patrzyła za nim smutno i rzekła do siebie: — wzięłabym go zaraz, gdybym go tylko miała czem wyżywić!

Nazajutrz już nie było śladu pogody. Zimna wilgotna mgła skraplała się drobniutko, a Franek zły był bardzo, że nie można puszczać latawca, którego Tomasz, sąsiad Agaty naprawdę zdjął z dachu. Rozpoczęła się długa słota, a dzieci rozpowiadały już o gwiazdce i o jabłkach babki Agaty.

Pod wieczór usiadła babka Agata przy piecu robiąc pończochę i myśląc o przeróżnych rzeczach i o sennym Wojtku. Wtem usłyszała szelest za drzwiami.

— Pewnie który z malców nie może po ciemku namacać klamki — pomyślała i otworzyła drzwi. Wtedy coś czmychnęło i skryło się w ciemności. Nic to, że babka Agata była siedem razy starsza od Wójtowego Kuby, mimo to umiała jeszcze biegać bardzo prędko. Raz, dwa, trzy, pobiegła za zbiegiem, złapała go i przyprowadziła do światła.

— Co ty tu robisz? — spytała i popatrzyła na chłopca. Był to senny Wojtek.

Zmieszany chłopak patrzył to na nią, to na ogromną wiązankę chrustu, którą babka dopiero teraz spostrzegła.

— Tyś to przyniósł? zapytała.

Wojtek kiwnął głową w milczeniu, potem powiedział:

— Leśniczy mi pozwolił, szedłem z Sianek Dolnych i zbierałem to po drodze; bo... bo... jest tak zimno!

— Poczciwy chłopcze! — rzekła wzruszona babka prowadząc go do izby i głaszcząc czule.

— Chodź, chodź, usiądź sobie na fotelu, zagrzeję ci mleka.

Wojtek potrząsnął przecząco głową:

— Nie, nie mogę tu zostać, bo znowu dostanę tak jak wtedy!

— Wybili cię w niedzielę? — pytała przerażona babka.

Wojtek skinął głową twierdząco, lecz na bladej twarzy ukazał się radosny uśmiech:

— To nic nie szkodzi — powiedział — tu było tak przyjemnie!

Babka wlepiła w niego wzrok zamyślony i szepnęła do siebie:

— Musi się udać, musi! — a po chwili zapytała:

— Gdzie jest teraz twój opiekun?

— W szynku — odpowiedział chłopak i zapłonił się na samą myśl o opiekunie.

— Dobrze — powiedziała babka półgłosem. Zapaliła ręczną latarkę,

zgasiła światło w izdebce, napomniała kozę Fryderykę, kotkę Mruczka, ptaszka Mimi, żeby były grzeczne i rzekła do Wojtka:

— Chodź ze mną!

Chłopiec poszedł z nią chętnie i w milczeniu szli razem przez wieś aż do plebanji.

— Babka Agata jest miękka jak wosk, ale gdy chce, potrafi być twarda jak krzemień — powiedziała raz wójtowa, która bardzo ceniła staruszkę. Gdy babka Agata stanęła przed proboszczem tego listopadowego wieczoru, była miękka jak wosk. Powiedziała mu, że jest wprawdzie bardzo ubogą kobietą, ale chciałaby wziąć do siebie sennego Wojtka, bo jej się bardzo podoba i prosi proboszcza, by jej w tem dopomógł.

Proboszcz nie miał w tej sprawie głosu. Gmina oddała Wojtka sierotę: Bazylemu i płaci mu za utrzymanie chłopca.

Proboszcz zapewnił, że nic więcej nie może zrobić, jak tylko pomówić o tem z wójtem i to uczyni jak najchętniej.

— Nie, to za długa droga — rzekła babka Agata ze stanowczością: — chcę chłopca zaraz zabrać! Pójdę do karczmy, tam ich wszystkich zastanę i nie ustąpię, póki mi go nie dadzą!

To mówiąc wyszła. Na drodze spotkała wójtową. Opowiedziała jej wszystko najdokładniej a wójtowa odrzekła:

— Pójdę z wami, weźmiemy jeszcze Janową ze sobą, ona lepiej potrafi przemówić odemnie!

Babka zgodziła się na to chętnie, poszły po Janową i wszystkie trzy razem udały się do karczmy. Siedzieli tam przy jednym stole wójt i Bazyli, opiekun Wojtka i wielu innych gospodarzy.

Wojtek struchlał, gdy wszedł do karczmy i gdyby go babka Agata nie była mocno trzymała za rękę, byłby się z pewnością wyrwał i uciekł. Babka miała od dawna żal do Bazylego o to, że był zły i skąpy. Gospodarze wszyscy. znali wady Bazylego, ale olśniewało ich jego bogactwo, więc milczeli. Każdy z nich wiedział dobrze, że Wojtkowi źle było u Bazylego, ale nie obciążali sobie serca zgryzotą o biednego sierotę i nie troszczyli się o niego.

Tutaj już babka Agata nie była tak miękką jak wosk, tu była twardszą od krzemienia. Nikt nawet nie przypuszczał, że drobna i uprzejma babina potrafi być tak gadatliwa, zła i bezwzględna. Tak nagadała Bazylemu, że nie wiedział, co z sobą począć. Nie mógł wstać i odejść, bo zamykały mu drogę wójtowa, Janowa i karczmarka, która się do nich przyłączyła. Za każdym razem, gdy babka Agata nowy grzech wypominała bogatemu chłopu, wołały wszystkie trzy:

— Tak jest, to prawda!

— Szczerą prawdę mówi!

Gospodarze przysłuchiwali się temu kazaniu z utajonem zadowoleniem

dopóty, dopóki się stara do nich nie zwróciła i nie wypomniała im, że żaden z nich nie zatroszczył się nigdy o los biednego sieroty.

— Szczera prawda! — potakiwały wszystkie trzy kobiety, a każda z nich przyrzekła sobie w duszy zaraz jutro czemś Wojtka obdarzyć, bo je męczyły wyrzuty sumienia.

— Niech mi się chłopczysko na oczy więcej nie pokazuje, może go sobie pani zatrzymać! — krzyknął wreszcie Bazyli, przecisnął się między kobietami i wyszedł.

Babka Agata tryumfowała, ale nie ustąpiła dopóty, dopóki nie przemówiła do serca gospodarzom w sprawie chłopca i dopóki jej solennie nie zapewnili, że senny Wojtek może u niej pozostać!

Teraz kobiety były nareszcie zadowolone i odeszły wszystkie razem. Wójtowa, Janowa i karczmarka, wszystkie poznosiły do babki Agaty najrozmaitsze rzeczy do jedzenia. Prócz tego przysłała jedna poduszkę, druga kołdrę a trzecia przyrzekła dać chłopcu ubranie. Babka Agata brała wszystko z wdzięcznością.

Mimo ubóstwa była dumna i nie przyjmowała od ludzi darów, chyba ciastka jakieś lub kawałek babki, ale teraz powiedziała sobie:

— To jest dla chłopca, chwała Bogu, że się będzie mógł najeść do syta!

Senny Wojtek wykonał też to tego wieczoru bardzo dokładnie. Obydwoje z babką Agatą spożyli wieczerzę z radością w sercach. Fryderyka, Mimi i Mruczuś brały czynny udział w uczcie i zaprzyjaźniły się prędko z nowym współobywatelem.

Gdy senny Wojtek leżał tej nocy na nowem posłaniu w izdebce babki Agaty, miał po raz pierwszy w życiu uczucie, że jest w swoim domu. Babka Agata pogłaskała go łagodnie po twarzy i rzekła:

— Dobrze się stało, żeś wpadł do mojego garnka, synku!

Ach! ten garnek i różowy latawiec Franka. Jakże często wspominał je Wojtek z wdzięcznością. Gdyby kto przez noc został księciem i mógł ciągle chodzić w złotej koronie, nie byłby szczęśliwszy od Wojtka u babki Agaty.

W jej chałupce stał się żwawym, wesołym chłopcem, nauczył się śmiało i otwarcie patrzeć ludziom w oczy. Tak się zmienił, że nauczyciel w szkole chwalił go coraz częściej:

— Znowu Wojtek najlepiej rozwiązał zadanie! — mówił o sennym Wojtku.

Gmina łożyła na utrzymanie chłopca u babki Agaty a ponieważ gospodarze byli zawstydzeni i proboszcz im jeszcze dogadywał, więc grosz płynął szczodrze. Wójtowa, Janowa i karczmarka pamiętały o przyrzeczeniu tak, że babka nieraz mawiała:

— Oj chłopcze, chłopcze, mój garnek nie wypróżnia się, odkąd do niego wpadłeś!

Usłyszał to raz wójtów Kuba i zapytał, czyby się u nich w domu garnek z powidłem też nigdy nie wypróżnił, gdyby on wleciał do niego?

— Nie badaj tego lepiej — powiedziała babka ze śmiechem — mogłoby ci to wyjść na złe!

Kuba dał temu spokój i dobrze zrobił. Nie każdy znaleźć może szczęście w garnku!

GLOBUS.

Gdzieś, nie pamiętam, w jakim księgarskim kramiku
Napotkałam wśród książek globus na stoliku.
Globus ten miał trzy cechy: był pstry i był mały
I dziwnie brzydkie barwy kraje oznaczały.
Europa była czarna, Azja malinowa,
Afryka jak kanarek, Australja bronzowa,
A wielka Ameryka z dwóch części złożona
Była jak pstra papuga, krzycząco zielona!
Całość okropieństwo, nie glob, lecz straszydło!
A księgarz rzekł z uśmiechem: „Ręczne malowidło!“
O artyzmie, artyzmie, tak jest mi niemiło,
Że z twoich złotych skrzydeł po piórku ubyło!
A że we mnie jest nieco natchnienia, jak wiecie
Bolałam, że księgarze sprzedawać chcą śmiecie!
Właściciel tego kramu bez żalu i gniewu
Powiedział, że i brzydkie potrzebne do siewu,
Bo gdzieś w jego tajników zacisznej głębinie
Jest piękno dla niektórych ukryte jedynie.
Mówiąc podał mi krzesło, prosił bym spoczęła,
Bo jego się opowieść dopiero zaczęła,
Kochani, i wy także słuchajcie ciekawie,
Wejdźcie za mną, do kramu, spocznijcie na ławie,
Niechaj przeszłość jak obraz was nagle otoczy,
Patrzcie w usta księgarza otwierając oczy.
Mgła przez kramik przelata. Wszystko się zaciera,
To przeszłość do nas wraca, przeszłość drzwi otwiera.
Mgła zapadła i rzednie, już znika, już zwiewa!
Cud nastał! Któż z was ludzi się tego spodziewa,
Kram księgarski, kram stary, czasem zapylony
Odmłodniał. Patrzcie ludzie, już nie jest zniszczony,

Jest nowy, całkiem nowy i wszystko w nim świeci.
Tu są książki dla starszych, tu książki dla dzieci.
Ład panuje wzorowy, a w sklepie za ladą
Siedzi młodziutki księgarz i prawi z gromadą,
Tym wieszczów każe czytać, tym mędrców zaleca,
Wciąż odwagi dodaje, fantazję podnieca!
Jak lekarz leczy ciała, tak księgarz dla życia
Tajone wielkie myśli dobywa z ukrycia,
I każe im rozkwitać, przewiędnąć i rodzić
Owoce, które życie mu mają osłodzić.
Ten księgarz to apostoł, to siłacz, to postać,
Która w wyższe regjony się umie przedostać.
Tłum słucha. On wyniosły panuje wśród rzeszy,
Temu wskaże ideał, tamtego pocieszy...
Wtem patrzcie! Jakiś chłopak przez tłum się przeciska,
Chce stać koło księgarza, chce widzieć go zbliska,
Chce jak inni przed panem swe troski wynurzyć
I szczerą opowieścią na radę zasłużyć.
Jest ubogi i urósł w wilgoci i pyle,
Gdzie podłogą jest ziemia, a łożem badyle,
Gdzie mróz ciało krępuje i ciepło dusz studzi.
Urósł w ciemku jak nędzarz, lecz urósł na ludzi.
Chłopak mówi, a rzesza otacza go w koło,
Nasz księgarz obie ręce włożył mu na czoło
I wpatrzony, z ust chłopca niejako pił słowa,
Bo jemu wprost do serca spływała ta mowa!
Chłopak strasznie się skarżył. Chciał światła, chciał siły.
Chciał, by jasne promienie oczy ożywiły,
Chciał przecinać mgieł chmury, niweczyć katusze,
Chciał, aby smuga światła ożywiła dusze.
Mówił, wszyscy milczeli. Z podniesionym wzrokiem
Żądał, by wszyscy ludzie miarowym szli krokiem.
Potem przerwał na chwilę, w ekstazie marzenia
Szukał dróg, które wiodą w krainę zbawienia,
Cisza wielka zaległa. Chłopiec wskazał dłonią
Na wystawę księgarską pism ozdobną tonią
I prosił, by w tych pismach, wykładanych rano
Stale dwa razy na dzień kartkę odwracano.
Stało się, czego żądał. Chłopak wśród młodzieży
Stale dwa razy na dzień przed księgarnię bieży!
Pisma czyta przez szybę i książki studjuje
I w najgorszą zawieję tu przyjść usiłuje,

Męczy się, ale książki go darzą sowicie
I równym krokiem z ludźmi on kroczy przez życie.
Raz stoi, stoi czyta. Wtem księgarz go prosi
On wchodzi. Księgarz globus z za lądy przynosi
I mówi: „Zrób mi globus, zlep kulę gipsową
„Ustaw ją jak na żerdzi, na tyczkę stalową
„Dorób z drzewa podstawę, odkalkuj rysunek
„I przynieś mi z globusem sążnisty rachunek,
„Co zarobisz to będzie na książki i szkoły
„I rychło wynagrodzisz swe krótkie mozoły!“

Nagle śliczny ten sklepik się we mgle rozpłynął.
To przeszłość już odeszła. Sen piękny już minął.
Przeszla złuda urocza, opowieść przebrzmiała,
Księgarz skończył już prawić, gdym ja ją widziała!
Przedemną na tej ladzie stał globus zlepiony
Był z gipsu, stali i drzewa niezgrabnie złożony,
Przeciężki, nieforemny, pstrokaty, spękany
Najwidoczniej sklejony, bo w pół był złamany,
A piękny, taki piękny genezy powagą,
Że zaczęłam nań patrzeć z serdeczną uwagą
I marzyć, marzyć, marzyć, o czynie wśród burzy,
Który walkę rozpocznie i życie przydłuży.
I rozbitków tu ściągnie ze świata, z daleka,
By przez walki ich własne z nich zrobić człowieka.

Z listów do redakcji.

Kochana Jutrzenko!

Nareszcie do nas zawitałaś, jednak z jakąż smutną wiadomością. Nie daje mi się wprost wierzyć, aby drogi Stryjaszek, który tak kochał swoje bratanice i swoich bratanków, umarł. A jednak tak jest. Jeszcze przed miesiącem doniosła krakowska „Nowa Reforma“ o tem, ale ja myślałam może... może to nie Stryjaszek. Niestety!...

Od czasu jak pisałam do bł. p. Stryjaszka, upłynęło $1^1/_2$ roku, a ja wyrosłam już na dorosłą pannę, bo w lecie ukończę 15 lat. To bardzo dużo! Nieprawdaż? Ale jeszcze kocham „Jutrzenkę“, może więcej niż dawniej. Chciałabym mieć każdy jej numer.

Czy można pisać do Szanownej Redakcji pod pseudonimem? Mnie się to bardzo podoba. Ja obrałabym sobie pseudonim „Krakowianka“, bo ja bardzo, a bardzo Kraków kocham.

Ukłony „Jutrzence“ zasyła *Krakowianka.*

Ile lat żyją zwierzęta.

Wielkie zwierzęta ssące, żyją dłużej aniżeli małe, zaś u ptaków niema tej zasady. Mała papuga może żyć tak samo długo, jak wielki orzeł.

Niektóre polipy żyją lat 50, dżdżownice do lat 10, pijawka do lat 27, rak rzeczny lat 20; chrząszcze żyły w niewoli do lat 5, królowa pszczół żyje lat 5, natomiast pszczoły robotnice umierają najczęściej po 6 tygodniach. Mrówki obserwowano w niewoli lat 15, muszle rzeczne i stawowe wegetują do lat 14, muszla zas perłowa do 100 lat.

Karpie i szczupaki żyją nieraz ponad 100 lat, zielona żabka tylko 10 lat, kret może żyć 40 lat. Długo żyje żółw. Według zapisków trzymano pewien okaz żółwia 150 lat.

Kogut domowy żyje 20 lat, gęś i kaczka mogą żyć do 100 lat, bocian do 70 lat, sokół ponad 160 lat, kanarek do 24 lat, papuga ponad 100 lat.

Osieł do 106 lat, koń do 40 lat, wół do 25 lat, owce 20 lat, pies do 28 lat, kot 22 lat, słoń i wieloryb do 200 lat.

Łamigłówka

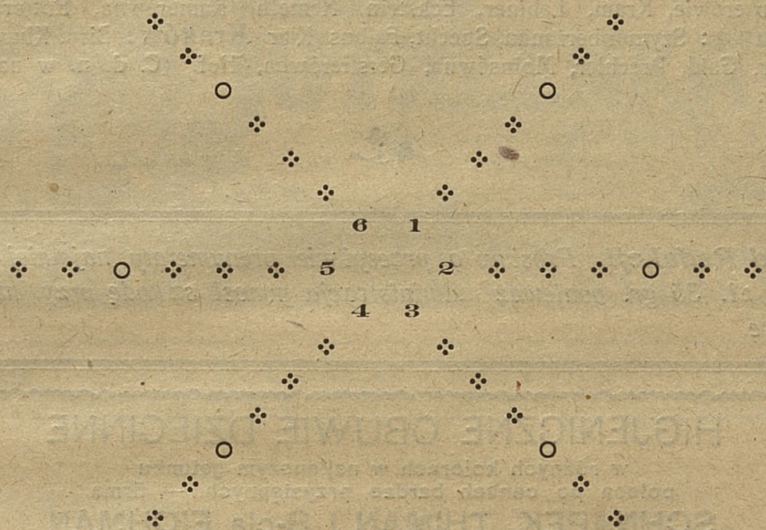
nadesłana przez H. Goldfischera.

1.	* * * * *	gwałtowna burza,
2.	* * * *	miara papieru,
3.	* * * * * *	strona świata,
4.	* * * *	imię męskie,
5.	* * * * * *	szczep, od którego pochodzą żydzi,
6.	* *	przyimek,
7.	* * * *	półwysep w Europie,
8.	* * * *	gaz, odmiana tlenu,
9.	* * * * *	przysłówek,
10.	* * * *	najdrobniejsza cząstką w chemji.

Początkowe litery mają oznaczyć nazwisko powieściopisarki, a końcowe jej dzieło.

Gwiazdka magiczna

nadesłana przez B. Grossównę.



1. Aktor, grający tragiczne role,
2. Miasto na Litwie,
3. Niebieska farba,
4. Zdrobniałe imię męskie;
5. Inaczej kraj,
6. Władca egipski.

Litery oznaczone kółkami dadzą nazwę miejscowości nad morzem Bałtyckiem, gdzie rząd nasz buduje swój własny port.

Rozwiązanie zagadek z N-ru 2.

Łamigłówka: Henryk Sienkiewicz.
Szarada: Pa-ra-sol-ka.

Trafne rozwiązania zagadek nadesłali:

Lwów: Frieslowna, Feuerinżanka, Langerówna, Retleimówna, Kosiner. Susser, Pechner, Rittel, Rot, Zimandowie, Altschuler, Figer, Projekt Karg, Czopp. Metzger, Bund, Wurzel, Kunke, Wittlin, Kellner. Halpern Löbl, Salz, Buchbinder, Burst, Weitzowie, Haselnuss, Katz, Donner, Land, Leist, Engelberg, Olmutz, Hackel, Reischerówna, Seinfeldówna, Scharfsonówna, Hittel, Scheksówna, Wechslerówna, Koh-

łówna, Klarówna, Tenerówna, Kircherówna, Entenówna, Lilienówna, Antreicherówna, Soklerówna, Holzmanówna, Meisnerówna, Gonta, Dreifusówna, Heichmanówna, Linkówna, Urichówna, Massówna, Jagidówna, Retenberżanka, Thurówna, Reinhold, Goldhaber, Lewin, Klopper, Kandel, Körner, Schäffer, Meisner, Keiler, Koch, Pandyk, Wernerowie, Kram, Labiner, Eckstein, Nemeth, Ramerówna, Rotter, Weiss. **Warszawa:** Szymonberżanka, Specht, Fajbus, Klar. **Kraków:** Birn, Kluger, Ness, Weinberg, Gold, Drechler, Moinsówna, Gerstlerówna, Hof. (C. d. n. w następnym numerze).

Od Redakcji. *Prosimy o przesyłanie prenumeraty najmniej za półrocze 1 zł. 35 gr. ponieważ administracja ponosi szkodę przy mniejszej przesyłce.*

HIGJENICZNE OBUWIE DZIECINNE
w różnych kolorach w najlepszym gatunku
poleca po cenach bardzo przystępnych — firma
SCHNAPEK, THIMAN i B-cia EICHMAN
LWÓW, UL. ŻÓŁKIEWSKA 17 i UL. GRÓDECKA 1.

„NASZA JUTRZENKA" **jedyne pismo polskie (ilustrowane) dla dzieci i młodzieży żydowskiej.**

Numer pojedynczy 22 groszy (400.000 Mkp.), z przesyłką 27 groszy.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Lwów, ul. Janowska 26

Prenumerata Naszej Jutrzenki wynosi: półrocznie z przesyłką 1 zł. 35 gr., rocznie 2 zł. 70 gr.

CENA OGŁOSZEŃ JEDNORAZOWO: cała strona 50 zł., 1/2 strony 25 zł., 1/4 strony 12 zł. 50 gr., 1/8 strony 6 zł. 25 gr. Opust za 3-krotne ogłoszenie 10%, za 6-krotne 20%, za 12-krotne 40%.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Dawid Berlas.** Z drukarni Polskiej we Lwowie. pod zarządem Z. Kiełbusiewicza.